

## Trudka

*I to, co miało mi źródłem być mocy,*

*Będzie omdleniem potęgi istnienia...*

*Co było światłem, to stanie się nocy*

*Żalobą...*

„Jeżeli kochasz...”, Maria Konopnicka

W naszej wiosce przesiaduję od blisko dwudziestu lat. Na samym początku krzątałam się po domu niewinnie i posłusznie zasypiałam w używanym wózku. Byłam czysta niczym niewinny szczeniaczek. Sielanka szybko się jednak skończyła. Niespodziewanie stałam się głodna świata i zapagnęłam go w siebie wchłonąć. Wbrew protestom rodziców usamodzielniałam się w piorunującym tempie i wdroyłam w marszrutę z ciotką i babką. One jedyne mi sprzyjały. Dały przyzwolenie na zerwanie ze sterylnością.

Ze spacerów zapamiętałam szczególnie kiwających nam sąsiadów, trąbiące auta. Kiedyś nie było ich tak wiele - wolno mi było biegać boso po rozgrzanym asfalcie, aż czułam smołę między palcami. Zresztą... samochodów nie było komu obsługiwać, bo nasze uroczysko to niekończące się chłanie. Teraz mówię „chłanie”, ale kiedy byłam jak ta smarkula, i kiedy pochłaniało mnie ciachanie dżdżownic kamieniami w pól (egzekucje naturalnie odbywały się w babcinym ogrodzie), miałam naszych pijusów za prawdziwych ludzi. Nie było żadnej segregacji i przed każdym truchlałam, spuszczać czółko. Jak się wychodziło z babcią za lipę, wyliczała: „O, tamten to Jurek, mąż Grażynki, tej, co łązi do dziś z gębą odmalowaną jak na odpust. A tam dziadek Maćka. Napieprzaliśmy z nim w karty na geografii”. Za drzewem wyrastał przed nami szereg panów dzierżących wielkie puszki z aluminium. Jurek, dziadek Macieja i kilku innych mężczyzn, co obsikani siedzieli na ławkach. Każdemu kiwałam głową na „Dzień dobry”.

Z czasem dorosłam. Zaczęłam prowadzić się sama, a że wciąż tu pozostawałam,

to i włóczyłam się po tych samych ścieżkach. Lipa też była ta sama i pognita parasolka stała tam, gdzie historia nakazała jej marnieć. Pergola także niezmienna, a w niej smród, choć obsikańców jakby ubyło, gdyż nastąpiła nowoczesna moralność - we wsiach też najwidoczniej można było zakłócać porządek publiczny. Jak sklepowa krążyła poirytowana, wyciągała komórkę i dzwoniła na policję. Przyjeżdżał wtedy gówniarz w asyście drugiego wydelikaczonego i dawali mandaty. I nic ich nie obchodziło, czy wlepiali je wujkowi koleżanki z podstawówki czy też nie. XXI wiek wyciął z nas swojskość. Poza tym klientela, która się skupiała wokół ogrodu piwnego, odznaczała się różnorodnością i świeżością. Ci panowie słabo się znali, więc jak niby miałyby u nich być bezgranicznie swojsko? Jurka na przykład już dawno temu pochowali w piachu razem z tymi o słabych pęcherzach. Zresztą pod parasolką znaleźli się też nowi, na jakich dwudziestoletnim okiem nie potrafiłam spojrzeć przychylnie. Więc nic im nawet nie mówiłam, jak wracałam z przystanku, mimo faktu, że mnie brakowało co najmniej czterdziestu lat, aby dotrzeć do miejsca, z jakiego mi się przyglądali.

Ale jeden z nich, ten Stach... Z niego to niezły ewenement był, biały kruk na regale tej dziury. Natknęłam się na niego w zeszłym roku w naszej bibliotece, jak speszony gubił się wśród szafek, mając nadzieję, że nikt go nie spostrzeże. Słabo na tym wyszedł, bo bibliotekarka w końcu go zbystrzyła; nie było rady, musiał jej szepnąć, czego potrzebuje. „Ten, da pani o miłości coś...”, zdradził. Starej się nie dosłyszało, więc jeszcze raz, z większym rumieńcem, wypluł z siebie: „O kochaniu coś”. Ta zaś, przyjąwszy życzenie, skierowała się ku cuchnącym wiekiem lekturom. Przeczynałam kpinę, bo poszła w romantyzm (ten prawdziwy); włączyła Goethego, Poego, Flauberta. Żał mi się zrobiło tego mężczyzny, bo ona mu tak specjalnie, żeby się zniechęcił. Oczywiście było, że inwersja w zdaniach zabija jego zapach. Taki pijak to nie dość, że nie znał się na książkach, to jeszcze z czytaniem w ogóle ciężko. A miłość? Jaką miłość mógł znać Stach, skoro takim, jak on, przychodzi co najwyżej chędożyć za kościołem podstarzałe ruszałki?

Widywałam go codziennie i każdego dnia zapytywałam się w duchu, w jaki sposób Stach zabrał się do pożyczonych egzemplarzy. Co najpierw? „Cierpienia...” czy czarny romantyzm? Przed twarzą stawały mi tylko mokre od piwka stronicie. Dla mnie te książki były przegrane - takie, co już nie powrócą bezpiecznie na miejsce. To wielka strata dla naszej wsi, zniszczony Werter. Jestem przekonana, że na jednego mieszkańca przypadała tu zaledwie jedna ósma książki. I nie, żeby ktoś tu serio coś czytał, ale nadal... to nieopisane nieszczęście stracić Wertera i nie mieć szansy rozejrzeć się rozpaczliwie dookoła, jak on sam miał

w zwyczaju czynić.

A myśmy go utracili bezpowrotnie w bezrozumnej czaszce pijaka spod sklepu, który prowadziła Pani Gertruda.

\*\*\*

Kiedy w sklepie pojawiła się nowa ekspedientka, pyski starych wyjadaczy zaszyły krwią. Teren, jaki sobie podporządkowali, ich jedyna ostoja, musiał przejść przez baczność kontrolę bystrych ślepiów młodziutkiej Gertrudy. Ta bezwzględna konieczność mierzyła każdego i było w tym coś nieprzyzwoitego: przyszło tam takie nowe i się bez skrępowania panoszyło, a co najlepsze - wpadło w sklep jak meteor i rozbiło swoją obecnością stare nawyki, przyzwyczajenia. Już nikt dziadkowi Maćka nie poda butli z jasną pianą, sądzili, kiedy zachce mu się pić To Co Zawsze. Będzie zmuszony tłumaczyć intruzce całą piramidę swoich potrzeb od podstaw. I na pewno nie dostanie niczego na krechę. Nie od niej, skoro spod parasola doskonale widać, jak się po wielkopańsku nosi. Gertruda... Jakby chciała kogoś nabrać tą swoją pseudoswojskością.

Za ladą krążyła niby bączek, cała była jak ze sprężyny. Nie należała do kobiet wysokich; po każdą flaszkę z pierwszych półek musiała sięgać z taboretu, który tachała ze sobą każdorazowo. Fortuna jednak jej sprzyjała, ponieważ regały spod sufitu dźwigały butelki z najcenniejszym trunkiem, a tutaj rzadko się zdarzało, żeby ktoś miał tyle pieniędzy. Owszem, połyskująca srebrem woda malowała się smakowicie, ale pszenny chleb nigdy nie ustąpiłby jej miejsca, jeśli chodzi o kwestię smaku. Jeść przecież trzeba, na napój-ogień natomiast wystarczy popatrzeć. I już jakby ciepłej.

Wódka była kontrastem dla lodowatego spojrzenia Pani Trudy. Raz się do niej wyprawiłam, po mleko, i tak się na mnie skrzywiła, jakbym nie wiem, co zrobiła. I nie świdrowała mnie okiem w żaden sposób, skądże; wystarczyło ledwo jedno spojrzenie podawaczki, żebym poznała swoje miejsce. „Poproszę mleko”. Tamta wstała, chwyciła, podstawiła karton pod nos. Położyłam na tacce papier „Pięćdziesiąt” i wtedy Truda we mnie żrenicą-sztyletem. Było to wejrzenie sędziego, który oskarża cię o wszystko: o oddychanie, o to, że masz czym zapłacić, o to, że tu w ogóle przyłazisz. Zmalałam przy niej i zadrżałam

tak atawistycznie, jakby ojciec Darwin cofnął mnie na osi ewolucji. Czułam, że w hierarchii społecznej znalazłam się momentalnie o cały szczebel niżej od tej zza lady. To był ostatni raz, kiedy z nią mówiłam. Od tej pory nie miałam sposobności, aby tam wrócić. I niczego tak nie żałuję.

Stanisław za to bywał w pijalni częściej niż we własnym barłogu. Nie było godziny, żeby go tam zabrakło, a przecież jego współbiednicy strajkowali praktycznie przez większość czasu. Nie chcieli durnej babie wypłaty robić, więc odcięli się od arsenału alkoholi, jakim dysponowała. Trudno. Jeden z nich miał w piwnicy zapasy, zaległy bimberek. Można by to było, w razie nagłego wypadku, sprzedać potrzebującym. Ktoś inny z kolei mógłby wsiąść na rower i pognać pędem do wieśniaków z sąsiedztwa. Tak miała wyglądać ich przyszłość; zmiany bywają potrzebne.

A Gertruda spowodowała je swoim wejrzeniem.

Dlaczego Stacha to wszystko nie ruszało? Albo inaczej: czemu ruszało go to aż tak bardzo? Stał w spożywczaku do nocy, zataczał się chwiejnie. Rzygać - nie rzygał, a jeśli trzeba było odejść za potrzebą, szedł daleko w pola. Nie wypróżniał się za altaną. Szklane butelki odbierał ze środka sam, sam też wszystko odnosił, a czynności te ubierały się w grząską ciszę. Pani Gertruda chwyciła szkło zręcznie między przedramiona a skromnie odznaczający się biust i szła jak mara na zaplecze. Drepcząc, gubiła za sobą stłumione łamanie gumolitu; wiekowa podłoga popiskiwała, jakby kruszyła się z każdym tupnięciem przypominającym krok nafochanej dziewczynki. To nie tak, że ów przemarsz pozostawiał za sobą otwarte okna i przeciągi. Towary nie spadały tu z półek, a za Trudą nie ciągnęły się pasma perfum, które każdego faceta wpędziłyby w oblęd. Życia nie da się tak napisać (Nie da się?). Nieważne, ile wyznań z liter się spija, i jakie emocje, oraz w kim, się kotłują. Najśmielszy uczony nie utkałby z podkreślonych sińcem oczu kasjerki zwierciadeł dla ducha brudasa, co wlepia się w jej plecy i poci się śmierdząco. Z Pani Gertrudy nie można zrobić bohaterki literackiej (Jakie musiałaby spełnić kryteria?), bo zwyczajnie, jak pozostali bywalcy sklepu, jedyne, co robiła, to latała z piwem. Nosiła w rękach po kilka butli i swą stópkę zadzierała wysoko, kiedy intuicja nakazywała jej umknąć złościwości wystającego progu. Można było o niej co prawda powiedzieć „Sprawna sklepowa!”, ale poza tym co? Trudno jest wnikać w upodobanie parafianina. Dla niego chude łopatki teźe były zapowiedzią bezbrzeżnej samotności. Jeśli ona odwracała od niego twarz, jeśli zwracała się ku obowiązkom, pozostawiwszy Stacha samego sobie, to kolejny dzień mu zdychał.

Z każdym jej odejściem (tego nie można by odczuć inaczej) pijak skazywany był na zatracenie się we własnej bezradności. Z jego nadziei na lepsze Teraz i barwniejsze Jutro pozostawały jedynie śmieci opatulone w uścisk kobiety. Jakie miała prawo, żeby zabierać to ze sobą? Skąd jej upoważnienie? A jeżeli wynosiła już na tarczy cudze dobre samopoczucie, powinna Stasia chociaż w ramach rekompensaty pocieszyć. Tak, to niezaprzeczalnie leżało w obowiązkach sklepowej. Powinna była troszczyć się o nastroje swojego podopiecznego, Stanisława, naczelnego alkoholika. Ten pijaczyna przecież był i pozostaje wyjątkowy. Ona jeszcze nie rozumiała. I o tym, że Stanisław miał się utopić w pobliskiej rzeczułce kilka tygodni później, także nie wiedziała.

Póki jednak Staszce starczyło sił, prosił ją, aby przynosiła kolejne browary i wcale nie z troski o nałóg. Rozchodziło się wyłącznie o to, aby znów ukamieniowała go wzrokiem. Wszak najgorsze upokorzenie było lepsze niż nieobecność kobiety (a tak przynajmniej zrozumiał ze swoich nowych książek). Za którymś razem w końcu zaproponowała mu chmielu na krechę. Jestem przekonana, że stał jej się bliski. Dobry los w końcu wynagrodził mu cierpienie.

\*\*\*

Któregoś ranka stare dziady podjęły decyzję o powrocie do swojego zakątka. Kręciła się za nimi nieprzyjemna myśl, że w ich zniknięciu okoliczni mogliby doszukać się ucieczki. A że sklepowa, jak sklepowa, to jedynie baba-usługiwaczka, to zbiegostwo miałyby szansę wypaść jeszcze bardziej zenująco. Uznali wobec tego, że nie będą się z nią patyczkować. Przecież jedna taka nie miałyby siły przebiccia. Wystarczyło najzwyczajniej w świecie ją przekrzyczeć i zapieć kobiece biadolenie.

Zapasy Andrzeja zdążyły się magicznie z piwnicy ulotnić, podobnie jak majątek pozostałych. Duma? Żadnych z niej korzyści, gdy pić nie było za co. A tanie browce, szczególnie w taki upał, potrafiły przywoływać spragnionych jak fatamorgana. Mały budynek ze sporych rozmiarów „ogródkiem” wyrastał w centrum wiochy, więc każdy wypad do kościoła, na cmentarz czy do biblioteki (w przypadku Stacha) wiązał się z mijaniem bąbelkowej uciechy za marne złotówki. Jak przejść obok Eurydyki i się za nią nie obejrzeć?

Nie da się jej minąć obojętnie; zastanemu porządkowi należy zatem spojrzeć w oczy. Pijacy podśmiewali się wniebogłoso, że będą jak ten pantofel, kolega Stanisław. Dostać miotłą w łeb? Najwidoczniej takie rozrywki da się lubić! Pipa, po wsze czasy pipa z niego, a nie tam Orfeusz!

Sam obgadywany wpychał tymczasem łokcie w dziury drewnianego blatu. Lekki wiatr smagał mu bruzdy, lecz znieczulony nie zarejestrował żadnego bodźca. Tylko odrętwienie panoszyło się w jego cielsku nieproszone. Jedyne, co odczuwał, to myśli odbijające się od jego wnętrzości. Głośno wybrzmiewały mu we krwi patetyczne frazesy, jednak nawet, gdyby chciał, nie mógłby powiedzieć tego, co sobie wymyślał od bardzo dawna, na głos. Przy Trudzie mówił tylko „Dobry”, a chciał więcej, naprawdę chciał. Warunki nie były po prostu zazwyczaj zbyt odpowiednie - często męczyła go chrypka, a nie miałby czelności skrzeczeć jej pod uchem. Często też słońce przygrzewało zanadto, a wówczas pojedyncze popielate kosmyki spływały mu na czoło i wyglądem przypominał mokrego szczura. Słowem - na mówienie o swoim „czuciu” nigdy nie ma doskonałego momentu. Fajnie się mężczyźnie co nieco wyobrażało, było mu wręcz rozkosznie podczas ślęczenia nad dziewiętnastowieczną makulaturą. Niemniej pozostawał bierny. Zupełnie jak osa, co wpadła mu w puszkę i w rozpaczy machała nóżkami. Wiedział, że minuty mu umykały, pchając lato w objęcia mrozu. Żłota gwiazda popylała po nieboskłonie jak wariatka, a pijak trwał w altanie. Nadal. Truda zaś tkwiła w środku, nieestetyczne wyrwana z panoramy, która się przed melancholikiem rozpościerała.

Coś ciężkiego w Stachu utknęło. Do tej pory, gdy tylko nie spał, migrował ze swojego mieszkania do cudzego domu, a potem z cudzego domu do sklepu. Pochłaniała go również praca dorywcza. Latem bogacze, którzy zbiegli z miasta i pobudowali się w K., dostawali zawału na widok niepociętych bali drewna, jakie sobie zorganizowali na zimę. Stach gonił więc z piłą i ciął każdemu. Zawsze wpadło mu w kieszeń parę złotych. Miał dobre życie i nie dlatego, że odznaczało się ponadprzeciętnością, bo przecież w gruncie rzeczy mógł umrzeć i nie wzbudzić zainteresowania. Istniało mu się dobrze, ponieważ miał w sobie komfort stałości. Pod żadnym pozorem nie dopuszczał do siebie możliwości zmiany jakiegokolwiek składowej jego małej rzeczywistości. Wszystko zawsze pozostawało takie samo. Na tym polegało błogosławieństwo bycia Stanisławem. Jemu jednemu udawało się umykać schematom utkanym dla współczesnego świata. Dopóki ona w nim nie utknęła.

Zaistnienie Gertrudy w myśli było jak otrzeźwiający wymiotowanie w zabrudzonej

melinie. Wieśniak obudził się z bezczynności i zadrzał na widok syfu panującego wokół. Na przestrzeni krótkiej chwili zrozumiał, że w ciągu sześciu dekad niczego się nie dorobił: maleńką rudere przepisała mu w młodości matka. Mieszkał sam i nie było nikogo, kto mógłby mu posprzątać czy podsunąć troskliwie flaczki pod nos, gdy szczęśliwie udałoby mu się dotrzeć slalomem przed próg. Jego samotność stała się przerażająca, a smutek, niesłuchanie rozległy, obejmował łapskami każde ze wzniesień, między którymi przemijała cichutko nasza wieś. Truda jawiła mu się jako okropny człowiek. Jałowe serce zamknięte w jałowej skórze. Oczy jednak miała mówiące, krzyczące, wiwatujące. Takich oczu chcemy się chwytać, pragniemy za nimi gonić, bo przeczuwamy, że chowają w sobie niewypowiedziane. Stach bardzo chciał się wczytać w nieme gadanie. Podążanie za drobnymi gestami otwierało mu drzwi do miejsc, o jakich nie wiedział, że istnieją. Wiocha zaczęła mu się jawić w kilku warstwach - to od sklepowej zależało, ile z nich miało mu zostać objawionych.

Okropne wzruszenie przebiegło mi po kręgosłupie na widok Stanisława z pękiem żółtych badyli w dłoni. Otwierał akurat oszklone drzwi i wchodził, zaprawiony albo i nie. Trudno powiedzieć. Odbił w prawo i zniknął, rozprysnął się w przestrzeni. Nie widziałam, jak dalej idzie, ale nie znaczy to, że mi przepadł bezpowrotnie. „Czucie” nie potrzebuje wsparcia zmysłów. A czułam to tak - - -

Po prawej stronie miał Stach wąski przedsionek, a w nim znicze, wkłady, sztuczne kwiaty. Niewiele różniły się one od tych, które trzymał. Te świeże zrywał jednak z uczuciem i pewną intencją. Nikomu nie zapłacił, żeby je posiadać. Sam się trudził; przez cały ranek przecinał pola kukurydzy w poszukiwaniu doskonałego chwasta. Kiedy napadły go wątpliwości i pięty zadrzały mu pod ciężarem absurdalnie niepoprawnego pomysłu, spostrzegła go nawłóć, jak zataczał się w trzeźwości i zwątpieniu. Mężczyzna trafiony ostrym żółtym dał jej się dokładnie obejrzeć, po czym wyrwał z niej życie. Dla kobiety. I, zebrawszy to swoje naręcze kwiatów, stoczył się ze wzgórza. Szedł w dół. Był nisko, coraz niżej.

Przedśionek naśladował sobą podłużny korytarz, toteż gardłowe głosy kupujących wybrzmiewały tam jak w bezdennej grocie. Staszek był za daleko, żeby dosięgnąć groźącego mu niepowodzenia, lecz nowa sytuacja wchłonęła go na tyle, że droga powrotna nie miała żadnego sensu. Zbyt długo tworzył wizje i snuł przypuszczenia, żeby dać się zmóc nieplanowanym okolicznościom. Między półki z artykułami wkroczył jakby dwa razy mniejszy. Zaczął topnieć w gorączce; kwitł w buraczanym zakłopotaniu. Miejscowa gawiedź dostrzegła jego idiotyzm.

– Stachu, ileśmy cię nie widzieli... – zagadnął bardziej cherlawy, oparty o blat.

– Byłem tutaj przez cały czas. Wiedzieliście – bronił się Stach.

– Niby prawda... – tu drugi z nich przerwał, cmoknął demonstracyjnie i przepchnął browcem potencjał improwizowanej mowy. – Ładne kwiatki.

– My nic dla ciebie nie mamy. Nie widzielim krzaków. Wszystko skoszone – dodał w ramach zaczepki pierwszy.

Na to weszła Pani Gertruda ze szkłem razy cztery.

– Daj dla Stacha też. Te tańsze.

Skarciła ich miną. Nic nie mówiąc, wykonała piruet obrażona i pognała po piątą butelkę. Stachowi włosy zaczęły spływać wzdłuż nosa. Wiedział, że to zła wróżba.

– Pośpiesz się, babo! Stachowi suchy pysk nie służy! – Obaj zaczęli się nabijać z kondycji poszarzałego na twarzy sześćdziesięciolatka.

A on nie umiał jej bronić. Nie zamierzał. Tylko kwiaty silniej objął w pięści, wciskając w nie pot. Chciał, żeby przestali mówić, żeby wyszli, zniknęli i przestali go w końcu definiować. Bo nosił w sobie skazę, jaka za ich sprawą przypominała o sobie i docierała do szperającej w skrzynkach przemęczonej kruszyny. Alkoholizowanie się to jedno, ale plucie głupstwami i wciąganie go w pływaczę gadania to poważne wykroczenie, ujma na jego honorze. Odkąd przekartkował papierowe zdobycze, szerzej rozumiał wpływ szczegółu na ogół. Tamtego dnia szczegółem stali się tamci dwaj. Wychudzony wbił się ostrym balem (a może powinnam raczej powiedzieć „bareczkiem”) w Stacha, na co ten aż się zachwiał. Omal nie wypuścił złotego.

– Ty wygo... Bier to piwo i mie nawet nie wnerwiał – zaciągał pieścotliwie napastnik.

Mój Stach nie miał jednak jak na tę propozycję zareagować. Wściekał się wprawdzie, rosła mu w gardle gula, nienarodzone płakanie, jednakże... koledzy zawsze pozostaną kolegami. Czy to ich wymysłem było uganianie się za babą? Co on też sobie najlepszego wymyślił... I co najlepszego zrobił; oto stał z kwiatami na kształt przykładowej cioty przed prawdziwą potworzycą. Jak mantrę powtarzał własnemu idealizmowi, że zaraz dostanie



szmatą przez łeb i tyle z tego będzie.

Gertruda stała tylko i przesywała oczyma twardo zgięte palce najbardziej wytrwałego klienta. Żadna zmiana w niej nie zaiskrzyła; była tą samą Trudą, co zazwyczaj. Korzystając ze swojej szansy, absztyfikant uczynił krok w przód i pochylił się nad ladą, tą cholerną ladą, co mu nie dała uczynić niczego śmielszego (zawsze coś go ograniczało).

Pożądanie z kochaniem rozsypały mu się na gumę na kształt koralików - słycać było pojedyncze puknięcia o posadzkę, choć może to jego wytarte serce tak stukało... Odpłynęły światy i fantazje, mroczki, sny i koszmary; wszystko nabrało wyrazu i powłoki boleśnie realnej na tyle, że we mnie samą godziło takie wyznanie. Ucieleśnione, wplecione w słowo, zapach otoczenia, w niepewność nadawcy. Wierzę, że lepiej nie mówić. A Staś był bezmyślny i oczarowany. Był biedny. Powiedział:

– Trudko, to kwiaty dla p... dla ciebie. Ja... chyba...

Okoliczność ucięła mu bluźnierstwo. Pani Gertruda zaciągnęła się złotą nawłocia i zarumieniona (cokolwiek to wtenczas znaczyło) tak na to odparła:

– Ja bardzo panu dziękuję za taki niespodziewany upominek. Ale pan mi nic nie jest winien, ja każdego mogę wpisać w zeszyt, to bagatela, a kwiatki to zbędne, no naprawdę, ale dziękuję jeszcze raz... No co tam... To postawię obok kasy, żeby nie zrzędzili, że ponuro, co? Ale dobra, panie, widzę, że idzie ta, co zbiera na kościół, więc lepiej idź pan. Brakuje jeszcze jej plotkowania, że niby narabiam z pijakami, haha! Pana kompania też tam czeka, o, widzę za oknem. Niech idzie do nich. Pan się słabo trzyma o suchym pysku podobno, mój pijaczyno.

\*\*\*

Werter zapadł się pod ziemię razem ze Stanisławem, którego zwłoki odnalazła podczas przechadzki sławna w naszych stronach matka dziewięciorga dzieci. Babcia doniosła mi, że ponoć ciało nieszczęsnego bezwiednie wrastało w trawę, a wokół nieboszczyka panoszyły się mlecze. Zdradziecko żółte. Jadaczka Stacha wpadła w płyciznę strumyka i w takiej pozycji pozostała. Nie zmarł wskutek samobójstwa. Zdaniem babci staruszek ostro się nabzdryngolił,

potknął się rażony przez upał i legł niefortunnie jak długi, „żeby wyruchać śmierć na łące”. Jak zwierzę. Uważała, że prawdopodobnie była to jego ostatnia uciecha przed wyruszeniem w rejs przez Styks. Z mleczem w papie. Przez pieprzony plebejski Styks.

Dla mnie taki koniec to za mało. To zupełnie niewiele - to nawet nie muśnięcie istoty bycia człowiekiem.

I dlatego przypisałam Stachowi mleczne kochanie.

Stanisław-nałogowiec mógł być czymś więcej niż zdechłym moczymordą - mógł stać się prawdziwym szczęściarzem. Wystarczyło jedynie, aby tego zapragnął. Mógł mieć mleko codziennie, mógł chlać piwsko od rana, wpatrując się przy tym w Trudkę podpierającą futrynę. W uśmiechniętą Trudkę. Wystarczyło się w niej zakochać. To nie mogło być trudne, skoro Stach patrzył na świat z innego, niż ja, miejsca. Z tego lepszego.

Chcę wierzyć w bujdę o miłości, że to dla sklepowej, przez nią i dla niej. Usiłuję widzieć Stacha słabego i wymiętowanego przez nieudolne macanie wiotkich kartek: chcę widzieć, jak pada w rozpacz po odrzuceniu; chcę poezji, śpiewania, kochania. I żeby romantyzm wrócił. I żeby ktoś poświęcił się dla Gertrudy, bo dla takich, jak ona, warto gasić sobie słońce. Co tam, niech ona jedna świeci w próżni.

Lecz to nie do mnie należy. Nie do nas. Nam trzeba żyć, bo któż lepiej od nas spisałby te bzdury?